

Zwyciężona

Krystyna Rożnowska

Zwyciężona

Prawdziwa historia

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2018
© Krystyna Rożnowska, 2018

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka, Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz
Korekta: Anna Śledzikowska, Izabela Izdebska
Projekt okładki: Łukasz Szczepaniak
Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-1466-4

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

DRUK: GRAFARTI • ŁÓDŹ

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK Extra 65 g wol. 2.0
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

Szok

To rak – uświadomiła sobie Maria, słuchając lekarki.

– To rak – szepnęła i czekała, aż ta zaprzeczy. Kolejne sekundy upływały jednak w ciszy i po chwili nie miała już wątpliwości, że jest chora. Przeczuwała to, odkąd weszła do gabinetu i spojrzała lekarce w oczy, ale jeszcze się łudziła, że to lęk podpowiada jej taką diagnozę – zbyt straszną, by mogła być rzeczywista. Im dłużej jednak słuchała monottonnych, spokojnych słów pani doktor, tym trudniej jej było wypierać tę myśl, boleśnie zakorzeniającą się w jej mózgu.

– To rak – powtórzyła raz jeszcze i odtąd już nie słyszała, co mówi lekarka, niczego więcej nie była w stanie pojąć.

Nie zauważyła nawet, kiedy wyszła ze szpitala. Stała na ulicy.

Jak to? Wszystko się kończy? – myślała, rozglądając się ze zdziwieniem dookoła. Tu było jednak tak samo jak przed dwoma godzinami, gdy tędy przechodziła.

A świat nadal będzie istniał – pomyślała z poczuciem niesprawiedliwości i krzywdy. – Ludzie będą się rodzić, rosnać, uczyć, pracować, podróżować, kochać i nienawidzić, tylko mnie już nie będzie. Wcale? Przemijamy, wiemy o tym, lecz wiedzieć to nie znaczy nie mieć złudzeń, wątpliwości, nadziei, choćby nawet absurdalnych. *A żyźń prozumięła i uszła*, jak mawiają Rosjanie. *Uszła* jak szum wiatru. Zniknę i niewielu to zauważy poza najbliższymi, ale i oni coraz rzadziej będą o mnie myśleć. Bo taka diagnoza to początek końca – docierało do jej świadomości. A może to pomyłka i zaraz wszystko się wyjaśni? Bo przecież niemożliwe, żeby...

Stała ciągle na ulicy, nie widząc szeroko otwartymi oczami ani starych kamienic nagranych majowym słońcem, ani przechodzących obok ludzi. Jeszcze się łudziła, jeszcze miała nadzieję, że wkrótce coś przedsięweźmie, czemuś zaradzi – tak jak dotychczas w każdej trudnej sytuacji.

Oby tylko zapanować teraz nad chaosem myśli i uczuć.

Nie może tak stać bez celu, musi iść w którąś stronę. Iść, iść szybko, aż do krańcowego zmęczenia, aż do utraty sił, do zupełnego wyczerpania. Ale dokąd? Może zatelefonować do... Nie. Mówiąc o tym, co przed chwilą usłyszała od lekarki, potwierdzi tylko fakty. A jednak

trzeba komuś o tym powiedzieć. Komu? Nie zatelefonuje przecież do rodziców, oni sobie z tym nie poradzą. Do córki też teraz nie zadzwoni. Ani do syna. To nie jest rozmowa na telefon. Powie im o tym, ale we właściwym momencie i w odpowiedni sposób. Może by wcześniej porozmawiać z Tomkiem? No i z Teresą. Najpierw z nią. Ale jeszcze nie teraz. Nie zniesie jej tonu i staranności, z jaką będzie wypowiadać kolejne zdania, by ukryć to, co naprawdę myśli, i znaleźć najwłaściwsze słowa pocieszenia.

I co teraz? Jak zdusić ten paraliżujący lęk i zacząć myśleć logicznie? Najlepiej nie myśleć wcale. Gdyby tak miała relanium. Lub alkohol. Mogłaby pić do utraty przytomności, aż nie będzie czuła już niczego. Co za głupi pomysł! I skąd? Nigdy się nie upija. Zresztą to niczego nie zmieni. Gdyby tak zasnąć na zawsze... Nie, o tym nie wolno myśleć, ma przecież dzieci, wnuki. Dokąd uciec? Gdzie się schronić? W kościele. Gdzie jest najbliższy kościół? O, tam – znajduje wzrokiem wystającą ponad dachami wieżę i przypomina sobie wewnątrz kościoła, z którego ta wieża wyrasta. W ten jasny, gorący, dręczący hałasem ulicy dzień wejdzie w chłód, ciszę i półmrok świątyni, uklęknie tuż przed głównym ołtarzem i będzie tak mocno błagać Chrystusa wyrzeźbionego w marmurze, aż wskrzesi w nim

iskrę uczuć. On wszystko może. Ale dlaczego miałby ją ratować? Tylu ludzi choruje na raka, wielu z nich wierzy dużo gorliwiej niż ona. Widziała ich w szpitalu – cierpią i umierają tak samo jak wszyscy.

Czy istnieje coś, co mogłoby choćby na krótko stłumić jej lęk? A może on, Tomasz? Gdyby tak wtulić się w niego i zapomnieć na chwilę o całym świecie... Nie, teraz nie jest do tego zdolna. Strach ją sparaliżował, zamienił w kamień, zamknął drogę do jej wnętrza. Nie ma w niej miejsca, które nie byłoby wypełnione lękiem przed śmiercią. Brrr, poczuła jej chłód w środku majowego, wyjątkowo gorącego dnia.

Rak nie wyrok – nagle przyszło jej do głowy pojawiające się na ulotkach czy w gazetach hasło, które stało się już sloganem. Widocznie są takie chwile, kiedy slogan znów nabiera głębszego znaczenia. Istnieją przecież szpitale onkologiczne, leczą tam chorych na raka. Po cóż by one były, po co lekarze i te wszystkie leki, gdyby rak zawsze oznaczał śmierć? Zna kilka osób, które już dawno się wyleczyły z tej choroby.

– I żyją. Żyją – wyszeptwała kilka razy i szpital, w którym kumulowało się tak wiele cierpienia, że trudno było zbliżyć się do niego bez bolesnej refleksji o nieuchronności choroby i śmierci, stał się dla niej nadzieją. Co prawda to w szpitalu przed chwilą usłyszała

od lekarki o zmęczonych oczach: „Niestety, jest to nowotwór złośliwy, jasnokomórkowy rak nerki...”. Teraz sobie przypomina, że z jej ust padło słowo „rak”. Jakże w tamtej chwili nienawidziła tej kobiety. I cóż się dziwić, że kiedyś zabijano posłańców złych wiadomości. Ta kobieta pewnie powiedziała już dzisiaj niejednemu pacjentowi, że jest chory na raka; przyjmuje ich przecież pięćdziesięciu, a czasem ponad sześćdziesięciu dziennie. A wcześniej obmyśliła sposób, w jaki będzie przekazywać tę wiadomość – wie, jakich słów użyć, jak nadać głosowi odpowiedni ton. Czy lekarka rzeczywiście jej współczuła? Czy można zachować taką wrażliwość, by codziennie szczerze współczuć kilku czy kilkunastu osobom, które informuje się, że są chore na raka? Czy to nie jest zbyt obciążające? Przecież lekarz musi spożytkować swoje siły na leczenie, nie tracić ich na przeżywanie wraz z chorym jego cierpienie i rozważanie o śmierci. Ale lekarka nie powiedziała, w jakim stadium jest jej choroba, a przynajmniej ona sobie tego nie przypomina. Nie było mowy o przerzutach. Ani słowa. To może ich nie ma, może jeszcze uda się zniszczyć tego raka, odwrócić bieg spraw, zatrzymać nadchodzącą śmierć. A ona o nic nie zapytała, wyszła szybko, uciekła, jakby można było uciec od raka. Musi tam wrócić. To jedyne miejsce, gdzie może znaleźć ratunek.

Będzie się leczyć – postanowiła. Tylko na tym teraz się skoncentruje. Dobrze, że wkrótce skończy się rok szkolny, bo w takim stanie nie mogłaby stać godzinami na środku klasy, obserwowana przez trzydzieści par oczu, i prowadzić lekcji. Nie, temu by nie podołała, zdradziłaby się ze swoim lękiem, z chorobą. Uczniowie są czujni jak sejsmograf.

10

Poczuła, że traci siły, a domy i ludzie oddalają się, falują, wszystko drży w światłocieniach upalnego dnia, barwy zlewają się i przenikają migotliwie – jak na obrazach impresjonistów. Podniosła rękę do skroni i starła kropelki potu, ale ani ostry ból głowy, ani szum w uszach nie ustąpiły.

Byle tylko nie upaść – pomyślała.

W rozlewającej się wokół mgłę dostrzegła nadjeżdżającą taksówkę. Zebrała siły, by wyciągnąć rękę i pomachać w jej kierunku. Samochód się zatrzymał. Wsiadła. W chłodzie klimatyzowanego auta odzyskiwała jasność umysłu i niechętnie wracała myślą do tego, co przed chwilą usłyszała w Instytucie.

- Na osiedle Kolorowe – rzuciła w stronę kierowcy.
- Znaczy... Nowa Huta? – przyjął zamówienie.

Ruszył i po mistrzowsku, ciągle szukając wolnego miejsca między innymi pojazdami, prowadził samochód. Jechali ciasnymi, zatłoczonymi ulicami.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał, przenosząc na moment wzrok na jej twarz.

– Tak – odburknęła niechętnie, żeby nie prowokować rozmowy.

Siedzieli w milczeniu, oślepieni ostrymi promieniami słońca odbijającymi się w błyszczących maskach samochodów, a miasto przesuwało się za oknem. Po obu stronach ulicy kolejne szare kamienice w klasycznym stylu prezentowały swoją urodę przymgloną przez czas. Samochód zatrzymywał się co chwila na światłach. Nie wiedziała, ile czasu minęło, nim znaleźli się wśród kolorowych bloków Nowej Huty, podobnych do tych, które stoją w nowych dzielnicach miast na wszystkich kontynentach.

Taksówkarz odszukał blok, w którym mieszkała. Zapłaciła i z wysiłkiem rzuciła: „Do widzenia”. Wjechała windą na szóste piętro i weszła do pustego mieszkania, cichego, chłodnego – zasunięte kotary nie wpuszczały do wnętrza promieni słońca. W przedpokoju zrzuciła buty, weszła do sypialni i zapadła się w fotel.

Spokojnie, trzeba przemyśleć wszystko od początku. Jednak najpierw relanium. Nie, kieliszek koniaku. Może jedno i drugie? Nie wolno mieszać alkoholu z lekarskami, to szkodzi. Śmieszne, co może szkodzić bardziej niż rak. „Ja niczego się nie boję, mam raka” – skąd nagle ten stary, niewybredny dowcip? I jakże teraz przykry.

Kiedy to się zaczęło? – szukała w pamięci chwili, w której choroba, będąca teraz przyczyną jej udręki, zasygnalizowała swą obecność. Choć wtedy, gdy się zaczęła, na pewno jeszcze długo o niej nie wiedziała. A może nie chciała wiedzieć? Najpierw był kaszel. W grudniu ubiegłego roku, czyli pół roku temu. Po kilku tygodniach czuła się nim tak zmęczona, że poszła wreszcie do przychodni. Lekarka zaleciła jej tabletki do ssania, wapno, polopirynę. Kaszel jednak nie ustępował, więc po dwóch tygodniach znów do niej wróciła. Pani doktor przepisała antybiotyk, a że poprawy nadal nie było, zamieniła go na inny. Wypisała też skierowanie na prześwietlenie płuc. Zdjęcie nie ujawniło żadnych niepokojących zmian, ale kaszel nie mijał. Wczesną wiosną znowu poszła do swojej lekarki, tym razem zapisała jej leki przeciwkaszlowe, przeciwgorączkowe, a potem kolejny antybiotyk. Przez cały czas piła też herbatki ziołowe, miód, sok malinowy, lecz kaszel męczył ją nadal.

Z końcem marca, będąc w toalecie, zauważyła krew w moczu. Rano znów wybrała się do przychodni. Otrzymała skierowanie do nefrologa, terminy były jednak odległe: trzy czy cztery miesiące czekania. Przez pierwszy miesiąc czekała, siłać się na spokój i pocieszając, że widocznie zagrożenie nie jest tak wielkie, skoro pani doktor nie zaproponowała, by tę wizytę

przyspieszyć, ani niczego w tym celu nie zrobiła, ale coraz częściej nachodziły ją myśli, że traci cenny czas, bo przecież powinna się leczyć. Kiedy przeczytała w Internecie, że krwiomocz może być objawem groźnej choroby, także nowotworowej, zaczęła szukać sposobu przyspieszenia badania. I wtedy Ewa, pielęgniarka, koleżanka jej córki, poprosiła zaprzyjaźnioną lekarzkę o zdiagnozowanie Marii. Badanie USG brzucha wykazało w lewej nerce duży guz. Obecność guza potwierdziła tomografia komputerowa, badanie ujawniło też w płucach niewielki cień. Właśnie dzisiaj usłyszała, jaki jest wynik tych badań, i diagnozę: rak. Guza trzeba usunąć jak najszybciej, to oczywiste. Musi go wyciąć, uwolnić się od niego.

I po cóż były te starania? – myślała teraz zawiedziona. Po co zdrowa dieta, ćwiczenia, kolejne mammografie? Liczyła, że w ten sposób uniknie raka. Nie tyle obawiała się zawału czy udaru, chociaż to te choroby są ponoć częściej przyczyną zgonów, ile właśnie nowotworu. Tak, tego bała się najbardziej, jak prawie wszyscy. Może dlatego, że przyczyna tej choroby jest ciągle nieznana, a to, co nie zostało poznane, wydaje się groźniejsze. Uległa kancerofobii, powszechnemu przekonaniu, że rak to epidemia naszych czasów, ale ten lęk był uzasadniony. Zachorowań przybywa, co potwierdzają statystyki,

sama dość często słyszała, że ktoś ze znajomych czy ich krewnych zachorował na nowotwór. Nie używała słowa „rak”, pomijała je w rozmowie lub zastępowała innym, a określenie „karcinogeny”, czyli powodujący tę chorobę, brzmiało w jej uszach groźnie jak szcęk ładowanej broni. Z lęku przed rakiem kilkanaście lat temu rzuciła palenie, a kiedy przeczytała o karcinogennym działaniu spalonych tłuszczów, powymieniała stare patelnie na nowe, teflonowe. Zastanawiała się, czy nie zrezygnować również ze stosowania hormonów, które przyjmowała od czasu menopauzy w postaci plasterków przyklejanych na pośladkach. Gotowa była zrobić wszystko, by ustrzec się nowotworu.

Kiedy jednak usłyszała w radiu, że rozwojowi tej choroby sprzyja stres, poczuła się bezradna. Bo czy można zapobiec stresom? Jak zdobyć się na obojętność wobec różnych porażających umysł i serce wiadomości i zdarzeń? Jak ustrzec się przed przeżyciami samowolnie ogarniającymi duszę i paraliżującymi ciało? Skąd wziąć pancierz uodparniający na ciosy zadawane czasem nawet przez bliskich i powstrzymać nerwy ulegające napięciu, palpację serca, jego ból odzywający się niczym protest organizmu w chwili poczucia krzywdy lub upokorzenia? Jak zasnąć, gdy nie można ukoić rozedrganego niepokojem umysłu? Czasem nawet

pastylka nie pomaga. Łatwiej już zapobiegać rakowi przez wprowadzenie do diety większej ilości jarzyn, zrezygnować z tłuszczów zwierzęcych, częściej kupować na obiad ryby lub używać dobrej oliwy, a zamiast ciastek podawać na deser owoce. Bo chodzenie na basen czy popołudniowy spacer wymagało już większej dyscypliny, chociaż tu był dodatkowy bonus – przekonanie, że służy to także ładnej sylwetce.

Zachorowała, choć dbała o swoje zdrowie chyba bardziej niż inni. A mówi się, że każdy jest kowalem swojego losu. Widocznie nasz los nie tylko od nas zależy, jest jeszcze coś albo ktoś, kto decyduje, czy zachorujemy, czy też nie. Teraz, w danej chwili, bo każdy kiedyś zmierzy się przecież ze śmiertelną chorobą. Ale może, gdyby nie jej starania o zdrowie, już dawno by zachorowała? Może już nie byłoby jej na tym świecie? – rozmyślała. A przecież nie mogła przewidzieć, że w jej nerce zacznie rosnąć guz ani temu zapobiec – usprawiedliwiała się przed sobą.

Gdyby jednak poszła wcześniej na usg brzucha, kiedy po raz pierwszy usłyszała od lekarki, że musi wykonać to badanie, gdyby nie zwlekała, nie czekała w kolejce, lecz prywatnie zrobiła je od razu, szanse na wyleczenie mogłyby być większe. A teraz guz jest pewnie tak duży, że zagraża jej życiu i trudno będzie

się wyleczyć lub jest to już niemożliwe. Czyta to z poważnych min lekarzy, z ich oczu.

– Tak, to chyba koniec – powiedziała szeptem. Była sama, więc nikt nie zaprotestował ani jej nie pocieszył.

A co z płucami? Ten cień. Co to może być? Prześwietlenie sprzed pięciu miesięcy niczego niepokojącego nie wykazało, ale teraz... Nie wiadomo. Kaszle od wielu miesięcy, leki przeciwkaszlowe niewiele pomagają. Nie może jednak mieć pretensji do lekarki z przychodni, że wcześniej jej nie zdiagnozowała, bo przecież się starała, tyle że najpierw przypuszczała, że to refluks, a potem mówiła coś o przewlekłym zapaleniu krtani. Zresztą po co się okłamywać, szukać argumentów dla własnego usprawiedliwienia, będzie szczerza przynajmniej wobec siebie – po prostu sama bała się, że wyniki badań potwierdzą jej najgorsze przypuszczenia, i dlatego nie spieszyła się z ustaleniem diagnozy. Trzeba jak najszybciej pozbyć się tego guza, usunąć go, choćby razem z nerką – zdecydowała.

Jednak koniak. Bez relanium. Napełniła ten większy kieliszek i wypić szybciej niż zwykle. Potem drugi.

Może jakoś z tego wyjdę – szukała nadziei. „Nogami do przodu” – znów natrętnie wmieszał się w jej myśli głupawy żart z jakiejś polskiej komedii i zaśmiała się głośno, nienaturalnie, oszołomiona alkoholem.

Dlaczego człowiek nie może panować nawet nad własnymi myślami? Cóż więc może? Jest taki, jaki jest, gdyż ma takie, a nie inne geny, cechy charakteru, a więc i życie. Na swoje geny nie ma przecież wpływu. W jakim zatem stopniu kształtuje własną przyszłość? Podobno ma wolną wolę, otrzymał ją od Boga i może decydować, jaki następny krok postawi na drodze swego życia. Jak to w końcu jest? Ile zależy od nas samych, a ile od Boga czy przypadku? Bo chyba jednak sami o sobie nie stanowimy do końca? Nie wybiera się choćby miejsca swego urodzenia, nikt nas nie pytał, czy to ma być biedna Afryka, czy bogaty kraj Europy lub Ameryki, ani w jakiej rodzinie chcemy być wychowywani. Nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tym dłużej. Uważała, że to strata czasu, skoro jest to problem nie do rozwiązania, przynajmniej naukowymi metodami, w które najbardziej wierzyła. Dopiero teraz, kiedy wiedziała, że w jej nerce jest guz, znów zadawała sobie te pytania.

Nieco wolniej sęczyła trzeci kieliszek koniaku. Nigdy tyle nie piła, najwyżej lampkę wina albo dwie, ale teraz postanowiła, że będzie postępować na przekór wszystkim zasadom zdrowego życia, których dotychczas przestrzegała – będzie piła alkohol, jadła to, co lubi, i kochała się, gdy tylko będzie ku temu sposobność. Wszystkim i wszystkiemu na przekór, na złość. Tylko

czy potrafi tak żyć, czy się na to zdobędzie? Jak będzie się czuła wobec siebie i innych?

Nawet na grzech mnie nie stać – pomyślała zrezygnowana.

Napięcie nieco ustąpiło.

– Będzie to, co ma być. – Westchnęła, próbując pogodzić się z losem. Wstała z fotela i spojrzała w lustro, uważnie przyglądając się swojemu odbiciu. Kim jest ta niemłoda, silnie zbudowana kobieta z ufarbowanymi na blond włosami? Nie zdążyła jeszcze przyzwyczać się do swojego obecnego wyglądu, nosiła w wyobraźni obraz własnej twarzy i sylwetki sprzed kilku czy kilkunastu lat, toteż gdy przypadkowo spoglądała w lustro, bywała zaskoczona. Tyle zmarszczek, coraz głębiej zapadające się oczy, obwisły podbródek, a teraz rozmazany makijaż i grymas rozpacz – to wszystko dodawało jej lat.

Jakże inaczej wyglądała kiedyś. Przypominały jej o tym zdjęcia wiszące nad komodą i te leżące w szafie, na najwyższej półce, w pudle wciśniętym między książki. Od kilku lat zamierzała je posegregować i rozmieścić w albumach, ale nie znalazła na to czasu. Może bała się wspomnień? „Życie jest pasmem rozczarowań, ciągłą utratą złudzeń” – tak to chyba ktoś powiedział i teraz bardziej niż kiedykolwiek była skłonna przyznać mu rację.

Czas spojrzeć wstecz. Nie wstając z fotela, z przy-
mkniętymi oczami oglądała w pamięci swoje zdjęcia,
począwszy od tych z dzieciństwa, na których z wielką
kokardą we włosach uśmiechała się z ufnością do świata.
Dziecięca buzia zmieniała się na kolejnych fotografiach,
nabierając indywidualnych rysów. Z wiekiem jej twarz
uwieczniona na zdjęciach stawała się coraz poważniej-
sza. Nawet gdy się uśmiechała, można było dojrzeć w jej
oczach niepokój czy smutek. Na wielu są także jej rodzi-
ce i brat, ale gdy dorastała, coraz częściej fotografowano
ją z rówieśnikami, w szkole lub na koloniach. Wtedy
jeszcze była pewna, że jest ładna i kochana, a rodzice
i krewni utwierdzali ją w tym przekonaniu. Wiedziała,
że jest dla nich najważniejsza, jednak z czasem tracili
wpływ na sprawy, które stawały się dla niej istotne –
na jej wyniki w nauce, pozycję wśród rówieśników,
sympatię najatrakcyjniejszego kolegi, a więc poczu-
cie wartości i szczęścia. Przekonywała się stopniowo,
że nie jest ani najładniejsza, ani też najmądrzejsza, jak
jej się wydawało we wczesnym dzieciństwie. Kiedy cią-
gle słyszała zachwyty i pochwały rodziców i krewnych,
upewniających ją rozkochanym wzrokiem, że jest wy-
jątkowa i nadzwyczajna, swoją przyszłość wyobrażała
sobie jako pasmo sukcesów. Z czasem pojęła, że nie
może osiągnąć wszystkiego, czego pragnie, a w życiu

czeka ją nie tylko powodzenie, ale i klęski, krzywdy, obojętność i odrzucenie. Świadomość ta została z nią już na zawsze, wyostrzyła jej rysy, a spojrzeniu nadała odcień uporu czy może melancholii.

Na fotografiach, w tle, były bloki Nowej Huty. Przyjechała tu z rodzicami i bratem, gdy była małą dziewczynką; zamieszkali w centrum budowanego wówczas miasta, które wkrótce stało się dzielnicą Krakowa. Rosnąc, poznawała najbliższe otoczenie – plac Centralny, aleję Róż, Centrum B, A, D, aleję Przodowników Pracy, Rewolucji Październikowej, Planu Sześcioletniego. Oznaczone literami i cyframi osiedla były do siebie podobne, tak samo jak dwu-, trzy- czy czterokondygnacyjne bloki, w których znajdowały się identycznie rozplanowane mieszkania, a w nich stały takie same pachnące nowością regały, tapczany, stoły, krzesła i szafy. To podobieństwo osiedli, budynków, mieszkań i sprzętów pozostało w jej pamięci ilustracją socjalistycznej równości.

Pamiętała ciemny dym snujący się nad miastem. Wydychał go rytmicznie Kombinat Metalurgiczny nazwany imieniem Włodzimierza Lenina, rozświetlając w czasie spustu surówki szare, jednorakie bloki bukiem iskier jak fajerwerki. Był już Teatr Ludowy i kino Świt. Gdy zasypiała i kiedy się budziła, słyszała stukot tramwaju łączącego osiedla mieszkalne z Kombinatem,

tak przepełnionego w godzinach szczytu, że robotnicy stłoczeni na stopniach w jego otwartych drzwiach zwisali na zewnątrz jak kiście winogron.

Gdy miała kilkanaście lat, w pobliżu jej bloku, na miejscu kolorowych klombów, postawiono pomnik Lenina – monumentalny, przytłaczający swoją wielkością dumny wódz rewolucji zmierzał zdecydowanym krokiem w świetlaną przyszłość. W państwowe święta oficjalne delegacje przy dźwiękach rewolucyjnych pieśni składały mu kwiaty. Jako uczennica podstawówki, a potem liceum uczestniczyła w tych uroczystościach, ale w domu ojciec, kiedyś żołnierz AK, wybijał jej z głowy socjalistyczne ideały. Entuzjazm nowohuckiej społeczności dla władzy ludowej okazał się złudny, coraz częściej pod osłoną nocy niszczone pomnik Lenina, bezczeszczono go, oblewano farbą. Raz ktoś podłożył pod niego ładunek wybuchowy i pozbawił wodza... pięty. Gdy nadeszły polityczne zmiany, w obecności rozentuzjanzmowanego tłumu pomnik Lenina zdjęto z cokołu, a potem ponoć sprzedano szwedzkiemu milionerowi gromadzącemu osobliwości. Wódz Rewolucji przestał być także patronem Kombinatu, który nazwano imieniem Władysława Sendzimira.

Dla mieszkańców Nowej Huty pobliski Kraków długo był odległy i obcy. Pamięta wycieczki szkolne

na Rynek, do Sukiennic czy na Wawel. Wybierając się do śródmieścia na zakupy, jej krewni mówili, że jadą „do miasta”. Zorientowała się z czasem, że ta najmłodsza dzielnica, zbudowana przez władzę socjalistyczną, zasiedlona przez najuboższych przybyszów z okolicznych i odleglejszych wsi i nieprzystająca swym charakterem do królewskiej przeszłości podwawelskiego grodu, była przez rodowitych krakowian traktowana nieco pogardliwie. Dopiero po latach w nowohuckiej architekturze dopatrzone się wpływów renesansu, klasycyzmu, neoklasycyzmu, a Centrum Administracyjne Kombinatoru zaczęto nazywać „Pałacem Dożów”.

Kiedy rozpoczęła studia i na co dzień przebywała w śródmieściu, poczuła się w końcu krakowianką. Pochodzący z różnych stron kraju studenci pytali ją, jako mieszkankę tego miasta, co warto zobaczyć, dokąd pójść na zakupy, gdzie tanio i dobrze się zabawić, a ona, by nie kompromitować się niewiedzą, pospiesznie poznawała stare dzielnice miasta i jego zabytki.

Wtedy po raz pierwszy się zakochała, w koledze z trzeciego roku. Poznała go w studenckim klubie, pili tam piwo, a potem ją odprowadził i na Plantach pocałował, a raczej musnął jej usta. Zresztą już dokładnie nie pamięta, jak to było, ale nigdy nie zapomni swej późniejszej udręki. Gdy go spotykała na korytarzu uczelni

albo w bibliotece, paraliżowały ją emocje, zamierała, gubiła myśli, nie mogła wymówić słowa, rumieniła się, drżały jej ręce, więc unikała go, by nie spostrzegł, jak duże wywiera na niej wrażenie. Myślała jednak o nim bez przerwy, a przed egzaminami uczyła się na głos, by słowa docierały do rozpalonej marzeniami głowy. Nie był przystojny, ale na pewno inteligentny – tak przynajmniej twierdziły jej koleżanki. Kiedy po roku ten wyznaczony zaproponował jej spotkanie, odmówiła; była zbyt wyczerpana nieodwzajemnionym uczuciem. Nigdy się nie dowiedział, jak bardzo była w nim zakochana.

23

Platoniczna miłość – uśmiechnęła się do tamtych wspomnień. Choć nie wszyscy w nią wierzą, to jednak istnieje, a życie jest dzięki temu bardziej zagadkowe i nieprzewidywalne. Dlaczego tak trudno o wzajemną miłość, choć każdy jej pragnie? Myślała już o tym nie raz. A jeśli się zdarzy, to z jakichś przyczyn trzeba ją w sobie zabić. Gdyby jeszcze raz przeżyć miłość, choćby nieodwzajemnioną.

Nie, nie chce umierać. Patrząc na swoje wiszące nad komodą zdjęcie ze studenckich lat, wystukała na telefonie numer Teresy.

- Teresko, ja mam raka – zaszlochała do słuchawki.
- Nerki? Już zdiagnozowano? To pewne? – pytała przyjaciółka konkretnie i rzeczowo, jak zawsze, kiedy

chodziło o istotną sprawę. – Tego się obawiałam. Nie chciałam cię martwić, ale objawy były niepokojące. Cóż, rak nie wyrok, musisz się leczyć.

– Ja umrę. Słyszysz? Mnie już nie będzie. Nigdy! – krzyczała, chcąc wytrącić ją z równowagi i zburzyć jej spokój. – A tobie, jak widzę, jest to obojętne. Pewno, to nie ty masz raka. Cudzy ból nie boli.

– Jesteś pijana. Zaraz do ciebie przyjadę. Będę za dwadzieścia minut. Tylko nie płacz. I już nie pij. Otworzysz mi drzwi, pamiętaj, nie zaśnij, bo musisz otworzyć mi drzwi.

24

Cisza w słuchawce. Zegar bije dziesięć razy. Nie wolno jej już pić ani spać. Tylko niech wreszcie Teresa przyjedzie. Dwadzieścia minut. Wskazówki zegara tak wolno się poruszają. Telefon znów dzwoni, ale to na pewno nie Teresa, bo ona jest już w drodze, więc nie podniesie słuchawki. O nie. Ktokolwiek by to był, nie będzie z nim rozmawiać. Czeka na Teresę.

Przyszła już po siedemnastu minutach. Była dziennikarką w regionalnej gazecie, poznały się w szkole średniej, ich przyjaźń przetrwała do dziś. Weszła energicznie, cmoknęła przyjaciółkę w policzek mokry od łez, ale nie zdradzała emocji.

– I tak wiem, że też się boisz – pomyślała Maria, obserwując ją spod brudnych od tuszu powiek.

– Cześć. Nie płacz. I nie pij. No, nie maź się – przywitała ją oschle Teresa, bez sentymentów. – Najlepiej zgłosić się do Instytutu Onkologii – od razu przeszła do sedna. – Jutro. Co prawda czeka się tam godzinami, ale oni mają najwięcej doświadczenia w leczeniu tej choroby. Zresztą co instytut to instytut – skwitowała. – Musisz się uzbroić w cierpliwość, wziąć ze sobą dobrą książkę i przygotować się na długie czekanie. Ale przyjmą cię, na pewno – zapewniła. – Gdy podejrzewasz raka, możesz pójść tam z ulicy i będziesz przyjęta tego samego dnia.

25

Jej głos brzmiał surowo, a słowa były twarde jak wyciosane z kamienia.

Nigdy nie mówi do mnie takim tonem – uświadomiła sobie Maria. Łatwo jej trzymać fason, bo nie choruje na raka. Nie ona musi iść na operację, nie ona będzie cierpieć i nie ona umrze. Znów popatrzyła na przyjaciółkę z niechęcią. Ciekawe, czy na moim miejscu też zachowałyby zimną krew.

– Wiem, powiedziano mi dzisiaj, że muszę się tam zgłosić. Trzeba usunąć nerkę. Wyznaczą mi termin operacji – Maria mówiła już spokojniej, dostrajając się nieświadomie do tonu i sposobu rozmowy.

– Jak trzeba, to trzeba. Nerki są dwie. – Terasa nadal była konkretna, nawet nieco oschła. – Pójdę z tobą, Marysiu – dodała łagodniej.

– Nie, pójdę sama – zachnęła się Maria. – Muszę sama sobie radzić, nikt nie będzie miał dość czasu, by chodzić ze mną na każde badanie czy na kolejne wizyty. To leczenie może potrwać, a ty masz pracę, dom, wnuki. Zresztą wspomniałaś, że jutro masz konferencję.

– O jedenastej. Wystarczy, jeśli dotrę tam o dwunastej, po oficjalnym otwarciu. Będę u ciebie jutro rano o siódmej i pojedziemy do Instytutu. Teraz muszę wracać, bo zostawiłam Jaśka samego, a to jeszcze dziecko. Czekaj na mnie jutro rano – powiedziała kategorycznie. Pożegnała się, patrząc gdzieś w bok, cmoknęła przyjaciółkę w policzek i wyszła, nie dając jej czasu na wahania i wątpliwości.

Wróciła rano, przed siódmą. Maria była już gotowa do wyjścia. Nie spała od czwartej trzydzieści, wcześniej także budziła się kilka razy, ale nie odczuwała zmęczenia. Wsiadły do samochodu Teresy, po drodze rozmawiały o błahych sprawach. O siódmej dwadzieścia zaparkowały w pobliżu Instytutu. Na widok tego budynku Marię przeszył dreszcz. Zawsze gdy tędy przechodziła, patrzyła ze współczuciem na wchodzących i wychodzących; wyobrażała sobie, jak bardzo muszą

być nieszczęśliwi, skoro są chorzy na raka, a teraz sama była chora i miała się tu leczyć. Brama była jeszcze zamknięta, czekała przed nią grupka ludzi, mieli ze sobą wypchane torby, najwidoczniej przyjechali z daleka. Jedni byli w towarzystwie kogoś bliskiego, inni sami, ale wszyscy tak samo wylężnieni i smutni.

Teresa mówiła bezustannie, opowiadała barwnie i z humorem o swoim siedmioletnim wnuku, starając się oderwać myśli przyjaciółki od miejsca, w którym były, i od jej choroby.

Czekających przybywało, ciągle nadchodzili kolejni, pytali, kto jest ostatni w kolejce. Zajmowali miejsce na ławce pod zadaszeniem lub stawali nieco dalej, zerkając w stronę wejścia. O siódmej trzydzieści otwarto Instytut. Tłum chorych wypełnił hol, uformował dwie kolejki: jedną utworzyli pacjenci, którzy przyszli po raz pierwszy, a drugą zarejestrowani do leczenia lub kontroli. Starsi i bardziej schorowani siadali na ławkach, a ci, którzy im towarzyszyli, zajmowali dla nich miejsce w kolejce.

Teresa szukała coraz to innych wątków swojej opowieści. Maria usiłowała jej słuchać, lecz trudno jej było się skupić. Rozglądała się zdziwiona, że chorych jest tak dużo i nadal wchodzi następni.

Oni wszyscy chorują na raka? – dziwiła się, obejmując wzrokiem tłum. Nie wiadomo, kto z nich jest

pacjentem, a kto przyszedł z chorym. Ta podstępna choroba dość długo nie naznacza twarzy ani ciała, aż do czasu gdy zawładnie całym organizmem i dokona takich zniszczeń, że już nie ma ratunku. Perfidna, a przez to jeszcze bardziej groźna.

28

Jestem jedną nich – pomyślała i znów rozejrzała się wkoło. „Cokolwiek może zdarzyć się człowiekowi, może zdarzyć się i tobie” – przypomniała sobie przeczytaną gdzieś sentencję. Nowa rola pacjentki onkologicznej przerażała ją, ale równocześnie zaczęła się w niej budzić solidarność z wylęknionymi, zagrożonymi ludźmi dotkniętymi tą samą co ona chorobą. Wiedziała, że w ciele każdego z nich zaczął się gdzieś mierzony w milimetrach potwór złożony z komórek, które, jak zdążyła przeczytać w Internecie, wymknęły się spod kontroli DNA i dzieliły szybko, bez ograniczeń, nie stosując się do planu nakreślonego przez naturę.

Małeńki, a taki groźny. W którym miejscu ukrywa się w ich ciałach? W piersiach, jelitach, wątrobie, trzustce, jądrze czy macicy? – próbowała odgadnąć.

Teresa spojrzała na zegarek.

– Trzymaj się. Wieczorem pogadamy – powiedziała. Ucałowała ją i odeszła.

Przez chwilę Maria czuła osamotnienie. Sięgnęła po książkę Ericha Fromma *Być czy mieć*, którą zabrała

z domu. Czytała ją przed kilku laty, tak jak i inne dzieła tego autora. Poznała je w czasie studiów, na zajęciach z filozofii, a teraz znów chciała zająć umysł tą piękną, humanitarną filozofią. Nie mogła jednak oderwać się od swojej sytuacji, od realnego zagrożenia. Być czy mieć? Być chorą na raka czy mieć raka? To pytanie, nasuwające się nieuchronnie, wciskało się między logiczne wątki książki.

Trzeba to zniszczyć – postanowiła. Skoro jest takie małe, można to przecież wyciąć, wyrzucić, wypalić, nim opanuje całe ciało. Czuła, jak przybywa jej sił do walki obronnej, którą zamierzała stoczyć. Po to tu jestem, by się z tym uporać. Nie poddam się, o nie.

Wróciła do książki i wczytywała się w jej treść z coraz większym zrozumieniem. Kolejka przesuwała się powoli. Po godzinie znalazła się blisko okienka. Słyszała, jak rejestratorka żąda od stojącej przed nią starszej pani dowodu osobistego i numeru telefonu i sprawdza, czy kobieta jest ubezpieczona, a potem każe jej wypełnić i podpisać jakiś druk. Wreszcie spytała ją o wykształcenie.

– Podstawowe – odpowiedziała tamta cicho, zerkając z zażenowaniem na najbliższej stojące osoby.

– Co ma wspólnego wykształcenie z leczeniem raka? – skomentował ktoś głośnym szeptem.

Wreszcie i Maria stanęła przy okienku i przez szybę zobaczyła twarz młodej brunetki, znużonej zadawaniem kolejnym chorym tych samych pytań. Teraz ona na nie odpowiadała, podała dowód osobisty, numer telefonu, podpisała druk.

– Pokój 101 – usłyszała od rejestratorki.

Poszła na pierwsze piętro. Tu także było wielu czekających, siedzieli w korytarzach na plastikowych czerwonych krzesłach, niczym w porcie lotniczym czy w starym kinie, a dla tych, którzy teraz przychodzili, nie było już wolnego miejsca. Stawali więc pod ścianą. Odszukała drzwi z numerem 101, przed nimi siedziało już ponad trzydzieści osób. Usiadła i ona, i znów zaczęło się czekanie. Długie, męczące, wśród zasępionych, ponurych chorych. Niektórzy czytali gazetę albo książkę, nieliczni cicho porozumiewali się z bliskimi lub nawiązywali znajomości ze współtowarzyszami niedoli.

Kim są ci ludzie? Kto z nich jest chory? Kto jest tu pierwszy raz, a kto bywa częściej? Kto zostanie wyleczony, a kto wkrótce umrze? – zastanawiała się Maria, obserwując znad książki ich twarze, stare i młode, bezmyślne i inteligentne, a wszystkie zasnutym smutkiem i zmęczone oczekiwaniem. Zauważyła, że niektórzy najwyraźniej oswoili się już z rolą pacjenta chorego na raka i informowali innych, jak należy się zachować.

Cierpliwość, a raczej zubożenie, z jakim trwali tam przez kolejne godziny, były zdumiewające. A więc można się pogodzić z tą chorobą. I do czekania można się przyzwyczaić. Leczenie onkologiczne wymaga pokory, bo cóż może człowiek zagrożony śmiercią wobec instytucji medycznych i lekarzy, od których zależy jego życie? Czy ma odwagę wymagać poszanowania swoich praw? Albo się buntować? Kto go usłyszy? Kto się z nim liczy? Może inni już wymazali go z przyszłości i uznali za nieobecnego.

31

Maria pochyliła się nad książką. Gdy na chwilę przerwała czytanie, usłyszała młodą kobietę siedzącą z lewej strony.

– Zawsze gdy przyjdę tu z mamą, wracam do domu zdruzgotana, z bolącą głową, i nie mogę dojść do siebie przez dwa następne dni. Tu człowiek dowiaduje się, co jest w życiu najważniejsze.

Nie odpowiedziała, nie miała ochoty na rozmowę. Patrzyła przed siebie i słuchała, a potem znów usiłowała czytać, z trudem wiążąc wątki w logiczną ciągłość. Odrywała oczy od książki i rozglądała się, ale wokół niewiele się zmieniało. Co jakiś czas wychodziła z gabinetu pielęgniarka i wyczytywała nazwiska kilku chorych, którzy mieli być wkrótce przyjęci. Donośnym głosem wymieniała też nazwiska wchodzących do gabinetu,

instruowała, wyjaśniała sprawy związane z ich chorobą, nie bacząc, że słuchali też inni. Anonimowość czekających szybko znikała, nie szanowano ich prywatności. Czy ich to nie rani? Czy ktoś się nad tym zastanawia?

– Nawet nie można zejść do baru na herbatę, bo człowiek nigdy nie wie, kiedy zostanie wezwany – znów zwróciła się do Marii ta sama kobieta.

Nadal jej nie odpowiadała, siedzieli w milczeniu. Czasem ktoś z personelu przechodził pospiesznie przez korytarz odprowadzany wzrokiem czekających, biel fartucha wyodrębniała go z szarości tego miejsca. W pewnej chwili z gabinetu wyszedł wysoki lekarz i ruszył wolno w stronę toalety, miał zmiętą twarz i obojętne, zgaszone spojrzenie.

– Jest zmęczony – skomentowała cicho sąsiadka Marii, wskazując na niego wzrokiem.

– Po południu w swoim prywatnym gabinecie nabierze wigoru – powiedziała ściszym głosem kobieta siedząca po drugiej stronie i zaśmiała się ironicznie.

– Tak, tak, nie myśl sobie pani, że jak się nie zapłaci, to będą leczyć – wtrąciła szeptem inna, starsza, w kolorowej chustce okalającej wyrzeźbioną zmarszczkami twarz i smutno pokiwała głową. – Kuzyn jeździł tu niedawno. Dopóki nie dali koperty, nikt się nim nie zainteresował. Dopiero jak żona zaniósł dwa tysiące,

potem drugie dwa. Tak jest, pani kochana, kto nie ma pieniędzy, to niech zdechnie. Takie czasy.

– Może się tak tylko chwalili, że dali pieniądze lekarzowi. Ludzie opowiadają różne rzeczy – skomentowała oschle Maria i popatrzyła jej w oczy.

– Jeszcze się pani przekona, ile choroba kosztuje. To porządni ludzie, nie zmyślali.

Czyżby to była prawda? Maria słyszała już podobne opowieści. Biorą? Może tylko niektórzy? – zastanawiała się, ale już po chwili liczyła, ile pieniędzy ona mogłaby dać lekarzowi, gdyby zaszła taka potrzeba. Zaczęła kalkulować, jak odłożyć większą kwotę.

Nie, ja nikomu nie będę wpychać koperty. W ogóle nie potrafiłabym wręczyć łapówki – zbuntowała się w myślach. Trzeba wsunąć ją do kieszeni fartucha czy położyć na biurku? – usiłowała jednak sobie wyobrazić taką sytuację. Bałabym się, że lekarz wyrzuci mnie z gabinetu. Ale czy na pewno nie odważyłabym się na taki gest, gdyby od tego zależało leczenie moje lub kogoś z rodziny? Czego się nie robi, by ratować siebie albo ukochaną osobę. Czy można się dziwić chorym lub ich krewnym, że dają łapówki? Albo gorszyć? Niech się wstydzą ci, którzy je biorą, wykorzystując ludzkie nieszczęście.

– Opowiem wam, jak moja znajoma dała kopertę lekarzowi – zaczęła z obiecującym uśmiechem kobieta

siedząca na lewo od Marii. – Kiedy leczyła się jej matka, cała rodzina złożyła się na łapówkę dla lekarza, a moja znajoma miała mu wręczyć pieniądze. Weszła do gabinetu i wcisnęła mu kopertę do ręki. Niby się wzburiała, ale przyjął. A kiedy wróciła do domu, zauważyła, że wszystkie te pieniądze zostały w torebce. Wysypały się z koperty. Nie poszła już do lekarza, by mu je dać, nie miała odwagi.

34

Wszystkie trzy siedzące obok siebie kobiety zaśmiały się głośno, ściągając na siebie zdziwione spojrzenia, i natychmiast zauważyły, jakim dysonansem był ich śmiech w tej atmosferze smutku i rozpacz. Przeraziły się więc, zawstydyły. Spostrzegły, że są w miejscu, w którym nikt się nie śmieje, tam po prostu nie wypadało się śmiać, tak jak w kościele lub na pogrzebie – była to świątynia rozmyślań o sprawach ostatecznych. Zamilkły w jednej chwili i znów się zamyśliły.

– Pewnie miał już wiele takich kopert i nie wiedział, którą od kogo dostał – ta z prawej półgłosem wróciła do usłyszanej historii.

Maria spojrzała na zegarek, siedziała tu już ponad cztery godziny, a w korytarzach nadal było pełno chorych. Niektórzy wzdychali głośno, chodzili w tę i z powrotem, wiercili się na twardych krzesłach, a inni zastygli jak w letargu. Co jakiś czas ktoś sięgał

po kanapkę i wtedy rozchodził się zapach wędliny lub gotowanych jajek, a pozostali, już wygłodniali, przełykali ślinę i odwracali oczy. Stali bywalcy, zwłaszcza przyjeżdżający z daleka, mieli ze sobą nawet termosy. Staruszek siedzący po przeciwnej stronie coraz niżej zwieszał głowę, opiekująca się nim córka podała mu lekarstwo.

Ciszę przerwał dźwięk komórki Marii. Telefonowała Teresa. Pytała, jak przebiegła rozmowa z lekarzem.

– Ciągłe czekam przed gabinetem, to jeszcze potrwa z godzinę albo dłużej – odrzekła Maria i poprosiła, by Teresa przyszła do niej wieczorem.

Od długiego siedzenia bolał ją kręgosłup, drętwiały pośladki. Wstała, znów przeszła się po korytarzu. Szła kilka kroków i zawracała, bo korytarz był wąski i zapelniony. Co chwilę patrzyła na zegarek. Po raz któryś czytała ogłoszenia wiszące na ścianach, liczyła drzwi, przyglądała się temu samemu obrazkowi.

Boże, jak trudno w tak małym, zatłoczonym pomieszczeniu przebywać pięć czy sześć godzin. Kiedy i na co czekałam aż tak długo? – usiłowała sobie przypomnieć.

Dlaczego nie organizuje się wizyt tak, by pacjenci nie musieli tkwić tu pół dnia? Czy gdzieś w urzędzie interesanci też czekają tyle godzin, czy tylko w szpitalu chorzy

na raka? To jeszcze jeden dowód ich lekceważenia, spychania do getta. Siedząc tu godzinami, przekonują się, że stali się obywatelami drugiej kategorii. Nikt nie zadał sobie trudu, by oszczędzić ich siły i czas. Bo czymże jest ich czas? Kto miałby go cenić i dlaczego? Dotyczy to nawet tych, z którymi do niedawna się liczone, bo mieli wpływ na losy innych. Można wątpić, że uda im się utrzymać dotychczasową pozycję społeczną, a jeśli nie, to wtedy nie będą już mogli decydować o sprawach drugiego człowieka. Po co więc się z nimi liczyć? To wielogodzinne, nieuzasadnione niczym czekanie utwierdza ich w przekonaniu, że w społeczeństwie już nic nie znaczą. Gdyby byli klientami, nabywcami, konsumentami i przynosili komuś korzyści, szanowano by ich, liczone się z nimi, z ich czasem lub opinią. Tymczasem są obciążeniem dla budżetu państwa, ciągle się im wypomina, ile pieniędzy pochłania lecznictwo. Co prawda, za ich leczenie personel medyczny otrzymuje pieniądze, ma więc pracę i pensję, ale kto o tym pamięta? Każde badanie, każde słowo czy gest lekarza lub pielęgniarki chory przyjmuje jako przejaw łaskawości.

Wreszcie usłyszała swoje nazwisko. Weszła do gabinetu.

Jednak nie było to jeszcze spotkanie z lekarzem, najpierw pielęgniarka przeprowadziła z nią wywiad.

Odpowiedziała więc na wiele pytań, bardziej lub mniej dotyczących jej choroby. Jakie zmiany zaobserwowała w swoim samopoczuciu? Pali? Pije? Jak się odżywia? Czy w rodzinie ktoś chorował na raka?

A więc to wszystko było istotne. Któraś z tych licznych przyczyn mogła spowodować, że jakaś komórka jej ciała, wyłamując się z obowiązujących ją reguł rozwoju, zaczęła się dzielić w sposób nieograniczony prawami natury, a ustrój jej nie unicestwił. I teraz w jego wnętrzu rośnie coś, co go zniszczy.

Wyszła na korytarz i znów czekała na dźwięk swojego nazwiska, już pogodzona z tym, że zostanie głośno odczytane, a wtedy wszyscy tu zebrani zwrócą na nią oczy. Po godzinie je usłyszała i opanowując rosnące napięcie, poszła do gabinetu. Wreszcie zobaczy tego, od kogo tak wiele zależy, może nawet jej życie. Weszła.

To ten sam przystojny lekarz w średnim wieku, który przechodził korytarzem. Z bliska zobaczyła, że istotnie był zmęczony, próbował pohamować rozdrażnienie i zniecierpliwienie.

– Proszę się położyć i zsunąć spódnicę. – Usłyszała polecenie pielęgniarki.

Lekarz przez chwilę przeglądał jej wyniki, podszedł, ucisnął brzuch, kazał się odwrócić i opukał dolną część pleców, zawracając w miejsce, gdzie istniała bolesna

tajemnica, i cały czas dyktował swoje spostrzeżenia pielęgniarce.

– Proszę się ubrać – polecił.

Raz jeszcze przejrzał wyniki badań i coś zapisał. Zaproponował wykonanie operacji za trzy tygodnie, ale uprzedził, że pacjentka musi się poddać jeszcze kilku badaniom. Czy zdąży? Na to pytanie nikt jej nie odpowiedział, ani lekarz, ani pielęgniarka, dając do zrozumienia, że to już nie ich sprawa.

38

– Ma pani szczęście, że operacja odbędzie się tak szybko, już za trzy tygodnie – powtórzył lekarz, by doceniła ten fakt, i tonem głosu oraz mimiką dał jej do zrozumienia, że powinna opuścić gabinet.

Wstała więc z krzesła i choć miała mu jeszcze zadać tyle pytań, ruszyła w stronę drzwi. Czuła, że straciła szansę na wyjaśnienie wielu dręczących ją wątpliwości i nawiązanie bliższego kontaktu z osobą teraz dla niej najistotniejszą, ale lekarz milczał wymownie i czekał, aż wyjdzie.

Na korytarzu opadła z sił. Usiadła na najbliższym wolnym krześle, by zastanowić się nad tym, co przed chwilą się zdarzyło. Wiedziała, że jej spotkanie z lekarzem nie było takie, jak sobie wyobrażała, i usiłowała zrozumieć, dlaczego.

On ze mną wcale nie rozmawiał – uświadomiła sobie. Nie nawiązała się między nami więź porozumienia, nie spojrzął mi w oczy. Czy mogę na niego liczyć? Czy ten człowiek rzeczywiście będzie się starał mi pomóc? Jest przecież taki zajęty, zmęczony. Czy zrobi więcej niż musi, by mnie wyleczyć? Posiada wiedzę, umiejętności i coraz skuteczniejsze leki, ale czy istotnie dla mnie wykorzysta te wszystkie możliwości? Nie udało mi się zainteresować go swoją chorobą, prawie mnie nie zauważył, nie zarejestrował w pamięci, pozostałam dla niego jedną z wielu pacjentek chorych na raka, które leczy, jak widać, według wcześniej ustalonych wzorców. A efekty będą przecież różne, jedni wyjdą stąd zdrowi, ale inni – nie. Do której grupy będę należeć? Nikt, jak widać, tutaj się tym nie przejmuje. Lekarze i pielęgniarki robią tylko to, co niezbędne, ustalone w procedurach, a przecież wszystkie trudne sprawy wymagają nadzwyczajnej koncentracji, wysiłku oraz czasu, którego oni dla chorych nie mają.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak wielkie nadzieje wiązała z tą rozmową, pragnęła, by lekarz ją uspokoił, przekonał do leczenia, wzmocnił jej wolę walki o życie. Nie zrobił tego, nie miał czasu. Nadal więc nie wiedziała, jaki faktycznie był stan jej zdrowia.

Co ją czeka? Jak zaawansowana jest jej choroba? Czy ma duże szanse na wyleczenie? Od czego i od kogo to zależy? Niepewność i niewiedza w tak ważnej sprawie dręczą i osłabiają wolę walki. Czy jednak może mieć pretensje do tego lekarza? Rozmawiał już dzisiaj z co najmniej czterdziestoma pacjentami będącymi w podobnej jak ona sytuacji, za chwilę wejdą do jego gabinetu następni i będą szukać w nim ratunku. Dla każdego jego choroba jest najważniejsza, najbardziej tajemnicza, wymagająca najrzetelniejszego leczenia, bo to jego zdrowie, jego życie. Podobno niekiedy jeden lekarz przyjmuje tu ponad siedemdziesięciu chorych. W którym momencie uodparnia się na cierpienie pacjenta? Na pewno nie jest w stanie potraktować każdego z nich z należnym zainteresowaniem i empatią, z tą nadzwyczajną starannością, która przekona chorego, że jest dla niego kimś istotnym, że zrobi wszystko, by go wyleczyć. Ona była dla tego lekarza jednym z wielu pacjentów, toteż skrócił jej pobyt w gabinecie do minimum. Co robić? Wrócić i prosić go o pomoc? Błagać? Krzyczeć? Odwołać się do jego człowieczeństwa lub lekarskich obowiązków? Nie miała nawet możliwości, by wrócić do gabinetu, tam siedział już następny pacjent, a przed drzwiami czekali kolejni.

Wiedziała już, że przegrała pierwszą rundę walki o życie. Dopiero teraz minął stres i owładnęło ją zmęczenie. Z ulgą się wyprostowała. Wreszcie będzie mogła stąd wyjść, napić się herbaty, coś zjeść. Zapra-
gnęła znaleźć się w domu i przemyśleć wszystko jeszcze raz w samotności, opłakać niepowodzenie. Pożegnała wzrokiem nadal czekających chorych, spróbowała uśmiechnąć się do kobiet, z którymi rozmawiała, i wyszła.

Wieczorem przyszła do niej Teresa.

– I co ci powiedział lekarz? – dopytywała. – To niewiele – zauważyła po wysłuchaniu. – Najważniejsze, że na operację nie będziesz długo czekać – szukała pozytywnych argumentów. – Badania musisz zrobić szybko, to znaczy prywatnie, nie myśl, że w tak krótkim czasie gdzieś ci je wykonają na fundusz. A musisz zdążyć. Musisz. Czas, czas się liczy!

Gdzie się udać na badania i ile to będzie kosztować? – zastanawiały się obie. Maria unikała rozmowy z przyjaciółką o kosztach leczenia, bo przypuszczała, że ta zaproponuje jej pożyczanie pieniędzy, a wiedziała, że ona też miała pilne wydatki. Niedawno chorował jej syn.

– Tylko wreszcie powiedz o wszystkim Tomaszowi, bo będzie miał pretensje, że o tak ważnych sprawach

dowiaduje się ostatni – przypomniała jej Teresa przy pożegnaniu. – Jeśli ty mu nie powiesz, to ja do niego zadzwonię – zaszantażowała ją półzartem.

– Powiem mu jutro – przyrzekła Maria. – Najpóźniej pojutrze.

Gdy wyszła, Maria policzyła pieniądze, które miała. Mało. Wszystko, co zdołała zaoszczędzić, głównie dzięki korepetycjom, dawała dzieciom, z poczuciem winy, że nie mogła ich wyposażyć na starcie w dorosłe życie tak jak inni zamożniejsi rodzice. Opłaciła wyjazd córki do Londynu, przy pożegnaniu wcisnęła jej tysiąc funtów, by miała za co żyć, nim otrzyma pierwszą pensję. Płaciła też co trzecią ratę kredytu mieszkaniowego syna. Myśl, że mogłoby im brakować pieniędzy na jedzenie czy inne podstawowe potrzeby, była dla niej nie do zniesienia. Teraz na jednym koncie miała niewielki debet, a na drugim tysiąc pięćset pięćdziesiąt złotych, a ponieważ do pierwszego pozostały jeszcze dwa tygodnie, była to kwota potrzebna na bieżące wydatki. Koszt prywatnych wizyt lekarskich i badań wykonanych za własne pieniądze dla przyspieszenia diagnozy nie był więc dla niej bez znaczenia. Pod koniec miesiąca musiała zapłacić czynsz, kolejną ratę za prąd, opłacić telewizję, Internet, telefon komórkowy, a w związku z chorobą dużo telefonowała, więc rachunek będzie

wyższy niż zwykle. Trzeba będzie jeszcze kupić nowy szlafrok i piżamę, skoro ma iść do szpitala na operację, bo ten, który nosiła, był już zniszczony, i jeszcze zabrać ze sobą choćby niewielką sumę, przecież nie można w takich sytuacjach zostać bez grosza. Skąd na to wziąć? Nie będzie prosić dzieci o pieniądze. Może sprzedać trochę biżuterii, choćby tę, której już nie nosi, a zachowała na czarną godzinę. Jednak cóż są dzisiaj warte jej trzy złote pierścionki?

– Chyba ta czarna godzina właśnie nadchodzi – pomyślała z lękiem. – Teresa ma rację, badania trzeba zrobić natychmiast, a więc prywatnie. Niby tylko kilkaset złotych, ale...

Jeszcze długo podliczała smukłe słupki cyfr. Tamtej nocy znów zbudziła się nad ranem, czując bolesny ucisk wokół serca.